

Maxim Levada (Kijów)

Dziennik wojenny (część 3)

20 MARCA 2022. DWUDZIESTY PIĄTY DZIEŃ WOJNY

31. Sumy

Z początkiem jesieni przeszłego roku po raz pierwszy przyjechałem do Sum. Nigdy wcześniej tam nie byłem, wydawało mi się, że to gdzieś bardzo daleko. W muzeum w Sumach pracuje koleżanka z mojego roku studiów i pojechaliśmy tam z kolegami, aby obejrzeć zbiory i omówić wymianę międzymuzealną.

Wyobrażałem sobie Sumy jako smutne, zabite deskami miasto. Ale zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia. Cała centralna część miasta zachowała prawie bez zmian dziewiętnastowieczną zabudowę. Czyste, porządne ulice, mało ludzi i samochodów – po hałaśliwym Kijowie, który, prawdę mówiąc, bardzo mnie męczy, poczułem się w mieście moich marzeń.

Wieczorem w hotelu z powodu niezwyklej ciszy długo nie mogłem zasnąć, wydawało mi się, że ogłuchłem. A przecież hotel był w centrum miasta. Rano szybko się zebrałem i poszedłem pospacerować przed śniadaniem.

Przez miasto przepływa rzeka Pszoła. Według map sądziłem, że jest nieduża, ale okazało się, że nie mam racji. Pszoła jest szeroka i bardzo ładna, a jej brzegi w mieście są strefą parkową. W odróżnieniu od Dniepru w Kijowie nie ma tam kawiarni i restauracji, tylko stare drzewa i ścieżki. Zszedłem na brzeg, zapaliłem i patrzyłem na ciche i spokojne, jeszcze nieprzebudzone miasto, zachwycając się słońcem, wschodzącym nad rzeką. Pomyślałem, że z przyjemnością przeprowadziłbym się do Sum, gdybym miał taką możliwość.

Dzięki tej podróży do Sum zyskałem dobrych przyjaciół. Przed powrotem siedzieliśmy z nimi i rozmawialiśmy o świecie. Także o wojnie, już o niej wiele pisano. Mówiliśmy o niebezpieczeństwach dla muzeów i zabytków, o możliwościach ewakuacji, do której trzeba by było się przygotowywać. Jeden z mieszkańców powiedział: „Od nas do Rosji jest tylko 40 km, nikt nie zdąży wyjechać, zostaniemy i będziemy bronić miasta”.

Każdego ranka, gdy się budzę, biorę telefon: „Jak tam?”

21 MARCA 2022. DWUDZIESTY SZÓSTY DZIEŃ WOJNY

32.

Gdy rozpoczęła się wojna Niemiec z ZSRR, moja mama miała cztery lata. Spytałem jej, co ona pamięta z początku wojny? Odpowiedziała mi, że jej pierwsze wspomnienie to bombardowanie w czasie ewakuacji. Z jej matką, a moją babcią, jadą w wagonie towarowym, mama przysiadła na podłodze, a babcia nakryła ją poduszką i sobą, aby zasłonić ją od odłamków. Wokoło wszędzie huk.

Wojna rozdzieliła już wiele rodzin. Wielu moich przyjaciół ewakuowało żony i dzieci, kogoś na zachodnią Ukrainę, kogoś zagranicę. Przyczyny są zrozumiałe – obawa o życie swych bliskich. Z czasem, gdy minął pierwszy strach, zaczęli zadawać sobie pytanie: co dalej? Nikt na razie nie pojmuje, co będzie z rodzinami w obcym miejscu. Trzeba gdzieś mieszkać, gdzieś pracować, dzieci muszą się gdzieś uczyć. I nikt nie wie, jak długo może to trwać.

Ale są i takie kobiety, które kategorycznie nie chciały wyjeżdżać, choć większość z tych, które znam, miały taką możliwość. To różne dorosłe, samodzielne panie, doskonale się realizujące i mogące nieźle się urządzić w każdym kraju. Stopniowo zacząłem zadawać im pytanie, dlaczego nie wyjechały? Ale żadna z nich nie mógł dokładnie sformułować odpowiedzi. Więc poprosiłem, aby krótko opowiedziały mi o swym obecnym życiu. To są znajome nie tylko z Kijowa; postanowiłem nie wymieniać miast, w których mieszkają i nie mówić, na jakich stanowiskach pracowały i czym się zajmowały. Dla którejś z nich mogłoby to być niebezpieczne.

Łesia:

„Przed Nowym Rokiem postanowiłam zmienić pracę, zwolniłam się ze starej i pomyślałam, że mogę odpocząć, więc pojechałam do rodziców na Połtawszczyznę. W ostatnich miesiącach zeszłego roku dużo pracowałam i nie miałam czasu na podtrzymywanie kontaktów czy zawiązywanie nowych. Wróciłam do domu wkrótce po prawosławnym Bożym Narodzeniu i od razu zostałam wrzucona w lodowaty strumień informacji o wojnie. Najpierw wpadłam w panikę. Zapytałam kilkorga przyjaciół czy mają »alarmowe plecaczki«, ale się roześmiali i odpowiedzieli, że nie. Nikt się nie wybierał wyjeżdżać. Co prawda, gdy wszystko się zaczęło, niektórzy wyjechali pierwszego dnia, a ktoś, jak dowiedziałam się z czasem, przyjechał do Lwowa jeszcze 23 lutego.

Zapytałam brata, który pracuje w zupełnie innym zawodzie, czy organizuje się u nich jakiś instruktaż na wypadek możliwej wojny. O to samo pytałam znajomych z różnych muzeów i kierujących różnymi strukturami, nawet dozorczynię naszego domu. Ta wspaniała kobieta, żując i wypluwając ziarna słonecznika, powiedziała głosem wróżki: »Przecież nikt nie będzie napadać! To tylko *ono* się wścieka, bo nie chce, abyśmy wstąpili do NATO. Proszę się nie denerwować, spać spokojnie, wszystko będzie dobrze!«.

Rozluźniłam się. Nikt z moich znajomych nie przygotowywał się do wojny i nikt w nią nie wierzył. Nigdy sobie nie wybaczę tej lekkomyślności!

Tej nocy, gdy nas napadnięto, nie mogłam spać. Zasnęłam około trzeciej nad ranem. Ostatnie, co przeczytałam na Facebooku, był wpis doradcy naszego Ministerstwa Obrony: »A teraz, jeśli nie jesteście zajęci niczym ważnym, kładźcie się spać. Jutro wojna!«. Uśmiechnęłam się.

Rano obudziłam się na telefon przyjaciółki – Rosja nas zaatakowała.

Ucieczki z Kijowa nawet nie rozważałam. W ciągu pierwszych dni miałam jakąś naiwną wiarę, że za tydzień Ukraina zwycięży i wojna się zakończy. W drugim tygodniu, czytając straszne historie o tym, jak ludzie stojąc jechali po 24 godziny do Lwowa, a przedtem stali sześć na przepelnionym dworcu w Kijowie, nie mogłam sobie wyobrazić siebie w tym tłumie z moimi dwoma kotami. W trzecim tygodniu, po tym gdy odłamki zestrzelonej rakiety uderzyły w dom o 500 m od mojego, strach mnie opuścił i zamienił się w złość i nienawiść. Do tego dołączyła jeszcze wielka miłość do mojego przytulnego mieszkania, mojego domu, najbliższego otoczenia, nawet do dużego białego kota, mieszkającego u nas w piwnicy, a którego żywił cały nasz dom. Pojawiła się też wiara w to, że nasz dom nie zostanie zburzony dzięki tym, którzy w nim pozostali.

W moim obecnym życiu nie ma niczego bohaterskiego. Rano zaczynam od telefonu do mamy na Połtawszczyźnie. Potem sprawdzanie przyjaciół, którzy zostali w mieście. Kontaktujemy się po każdym głośnym wybuchu:

– Łesiu, stało się coś w twojej dzielnicy?

– Tak, na trzeciej ulicy upadł odłamek rakiety. Idę popatrzeć.

– Zadzwoń, jak wrócisz!

Albo:

– Oksano, u mnie łóżko kołysało się jak w wagonie kolejowym.

– A u nas otworzyły się wszystkie okna. Jesteśmy ubrani i gotowi.

Takie to nasze rozmowy.

Jedna z moich przyjaciółek sortuje pomoc humanitarną i pakuje zestawy spożywcze, aby rozdawać je biednym i niebronionym w jednej z dzielnic miasta. Druga chodziła w pierwszych dniach do dużej piekarni, aby pomagać w miejsce pracowników, którzy wyjechali albo poszli do wojska.

Dzisiaj rano usłyszysz: »wszystko normalnie« i idziesz nastawić czajnik. Dom, w którym mieszkam, położony jest tak, że jeden pokój jest zalany słońcem od 9 do 10 rano. Wcześniej bardzo lubiłam tę porę, piłam kawę bez pośpiechu, patrzyłam na kotki, grzejące się na słońcu, słuchałam wiadomości. A teraz wszędzie ciemno, wszystkie okna pozastłaniane. Ciemno i czuć napięcie. Nawet moje kotki wydają

się chodzić na paluszkach. Nie schodzę do schronu, ten w naszym domu nie jest bezpieczny, to zwykłe pomieszczenie z różnymi rurami i kablami. Śpię przy oknie i drzwiach na balkon zasłoniętych materacami z łóżka. Jeśli złączą się silne bombardowania, o których ciągle mówią ci, którzy wyjechali do Polski, przejdę do ogólnego pomieszczenia razem z sąsiadami, gdzie jest zasada »trzech ścian«⁸. Każdego dnia modlę się za naszą armię, która jak może, broni naszego miasta. Jestem jej za to bezgranicznie wdzięczna.

⁸ Zasada trzech ścian – korytarze na klatkach schodowych zwykle są oddzielone od ulicy trzema ścianami; w razie wstrząsu lub bombardowania chronią one mieszkańców. Zasada dwóch ścian dotyczy korytarza w samym mieszkaniu; podczas gdy jedna ściana bierze na siebie wstrząs i może się zawalić, druga chroni przed odłamkami i na ogół pozostaje cała.

Mieszkam na przedmieściu, w cichym, »sypialnianym« rejonie. Do najbliższej stacji metra jest 6 km i chodzić tam, a potem z powrotem, fizycznie nie jestem w stanie, dlatego nie mogę pojechać do jakiegoś składu czy ośrodka pomocy, aby tam pomagać. Innej możliwości komunikacji ani samochodu nie mam. Dlatego robię, co mogę w naszym domu i pomagam online.

W pierwszym tygodniu robiłam zakupy i nosiłam wodę dla pewnej rodziny. To starsi ludzie, potem zabrał ich syn. Były wtedy olbrzymie kolejki, sami nie mogli sobie poradzić.

Pewnego razu, po bardzo długiej godzinie policyjnej, przestałam trzy godziny w sklepie zoologicznym i kupiłam karmę od razu dla dziesięciu kotów, moich i sąsiadów. I jeszcze dla jednego psa. Jego pani jest po udarze, a ma jeszcze starą matkę, która nie wstaje z łóżka.

To była dziwna kolejka, stali w niej ci, dla których ich mali domowi przyjaciele są ważniejsi niż oni sami:

– Żona powiedziała, że bym bez karmy do domu nie wracał. On taki głodny, cały czas stuka łapkami o klatkę!

– A co pan ma?

– Królika.

– Oj, żeby tylko była właściwa karma. Moja kotka innej nie je!

– Proszę was, nasza wczoraj jadła grejpfrut!

Pomagam także kolegom, którzy organizują pomoc dla muzeów i ich pracowników. Kontaktuję się z ludźmi, robię spisy potrzebnych rzeczy. Niedawno udało się nam posłać gaśnice do dwudziestu muzeów w całym kraju. Chciałabym jednak bardzo, aby się tam nie okazały potrzebne.

Wszyscy mówią, że trzeba myśleć pozytywnie. Wyobrażać sobie, jak będziemy żyć po wojnie. Zeszły rok zakończyłam, zwolniwszy się ze stanowiska dyrektorki jednej z charytatywnych fundacji. Planowałam porządnie odpocząć i znaleźć sobie coś nowego, nową pracę. Z początku miałam wrażenie, że wszystko się udało – czytałam dużo książek, chodziłam do teatru, na wystawy, spotykałam się z interesującymi ludźmi. A teraz poczułam pustkę i wiem, że po wojnie długo nie znajdę takiej pracy, o jakiej marzyłam. Mówimy z przyjaciółką, że pójdziemy pracować rękami, nie głową. Ale najważniejsze – w Ukrainie, w naszym wolnym i pokojowym kraju, który niewątpliwie zwycięży”.

Stella:

„Wiesz, w pierwszych dniach wojny było strasznie. Potem zaczęłam się przyzwyczajać. Dawniej, przed wojną, budziłam się o 9, teraz o 6–7 i to bez budzika. Najpierw przegląd kroniki wojennej, potem śniadanie, a potem wychodzę na posterunek meldunkowy o 2,5 km stąd, kupuję sąsiadom papierosy, rozmawiam i z powrotem. Wracam do domu i pomagam mamie gotować obiad. Zmuszam się, aby w dzień się przespać, potem znów wiadomości, kolacja, wiadomości i spać. W ciągu dnia odbieram mnóstwo telefonów z całego świata z propozycjami wyjazdu z Ukrainy; wszyscy obawiają się drugiego szturm. Staram się czytać książki, nie mogę. Dni upływają szybko i jakoś bardzo zwyczajnie.

Jedyne, co utwierdza mnie w obecnym stanie, to to, że podtrzymują mnie znajomi artyści. Nikt z nich nie wyjechał, a to, że zostałam z nimi, dodaje mi sił, jak się zdaje. Nie mogłam i nie chciałam wyjechać, nie mogę zostawić mojego miasta. Wierzę, że dobro zwycięży i czuję, że teraz na naszych oczach dzieje się coś bardzo ważnego. W nasz naród wcieliła się jakaś siła. Dobra siła. Ludzie stają się piękniejsi, a wróg przeistacza się w odrażającą istotę. Nie myślałam, że stanę się świadkiem »historycznego momentu«”.

Ludmiła:

„W nocy z 7 na 8 marca w naszym mieście zaczęły się pierwsze naloty. Budynek rady miejskiej, dom kultury zbudowany w 1911 roku, dom towarowy i moje muzeum zostały zniszczone. W 2021 roku obchodziliśmy jubileusz stulecia muzeum. Bomba upadła w odległości 3 m od wejścia. Temu budynkowi na pewno było tak źle, jak i mnie, oddałam mu przecież 34 lata mojego życia! Podarowałam mu całą miłość i oddanie; o tym wiedzą wszyscy w mieście i dlatego dzwonią i oferują pomoc. Nawet teraz chodzę do pracy. Wydaje mi się, że moja obecność zdejmuje z muzealnego budynku ból. Leczę go razem z wolontariuszami i oddanymi pracownikami. Zabijamy powybijane okna i drzwi, zbieramy ocalałe rozrzucone książki. Marzę o pokoju, o tym dniu, gdy znowu będę rano śpieszyć się do pracy w moim muzeum. Z nowymi ideami i projektami”.

Następnego dnia, gdy przeczytałem jej historię, Ludmiła na moje tradycyjne pytanie: „I jak?” odpowiedziała: „Jestem w piwnicy. Całą noc latali nad nami i teraz też huk. Rano trochę się przespałam. Tylko co obok zrzucili bomby. Maksym, jak strasznie!”

Olga:

„24 lutego obudziłam się o 6 rano na telefon kolegi: »Wstawaj, wojna się zaczęła, Rosja bombarduje Kijów!« Obudziłam ojca i młodszego brata, powiedziałam, aby szybko się zbierali i jechali na wieś do babci, gdzie w tym czasie była nasza mama. A po drodze niech mnie zawiozą do pracy. Zebraliśmy wszystkie konieczne dokumenty i rzeczy i pojechaliśmy. Zawieźli mnie do pracy. Takiej paniki w oczach ludzi nie widziałam nigdy, ale ostatecznie postanowiliśmy, że w miarę możliwości będziemy pracować. Co prawda, niektórzy koledzy szybko wyjechali zagranicę...

Wojna zmieniła całe moje życie. Pojawiły się nowe przyzwyczajenia – sprawdzać, czy mam paszport ze sobą, nosić w kieszeni składany nóż na wszelki wypadek, spać w ubraniu, tak aby można było szybko wskoczyć w tenisówki, włożyć kurtkę i wybiec z domu. Nauczyłam się słyszeć sygnały alarmu i mieć pod ręką »alarmowy plecak«.

Wojna daje się odczuć szczególnie w pracy. Od razu obniżyła się wydajność, tak własna jak i zbiorowa. Koledzy są w stresie, wszyscy prócz mnie i kierownictwa pracują zdalnie, bo mieszkają daleko albo wyjechali z miasta. Z komunikacją miejską są problemy, tak samo z tankowaniem. Do pracy mogę przyjść pieszo, ale postanowiłam, że w czasie wojny będę tam stale. Kierownictwo zgodziło się na tę inicjatywę, bo mogę pomagać dyżurnym z ochrony. Wojna bardzo zjednoczyła nasz zespół, zniknęła zwykła dyscyplina, każdy stara się zrobić na swoim posterunku to, co najbardziej pożyteczne. Przez ten czas nauczyłam się gotować ziemniaki w mikrofali i kłąć na kolegów, którzy wyjechali, ale uparcie jesteśmy uczeni, jak trzeba żyć i lubić swoją pracę. Dnia pracy nie można teraz zaplanować, po dziesięć razy na dzień jest alarm. Moje dni upływają bardzo monotennie. Gdy mam wolne, pomagam starszym sąsiadkom, jestem wolontariuszką (z przyjaciółką zebrałyśmy trochę pieniędzy i kupiłyśmy dwa termowizory, cztery kamizelki kuloodporne i dwa drony dla wojska). Po prostu żyję.

Staram się nie ignorować syren, chowam się w korytarzu (zasada »dwóch ścian«), albo w pracy idę do piwnicy. Tam w niewielkiej komórce śpię zresztą w dni robocze. Wygląda ona dość swoiście: stara wytarta kanapa, na ścianie mapa Ukrainskiej i Mołdawskiej SSR, lampa biurowa jak u sowieckiego prokuratora na filmie i cały stos zepsutego sprzętu elektrycznego, pudełek, różnych śmieci. Oczywiście zrobiłam tam trochę porządku i nie jest już tak strasznie. A w drugim dniu wojny zabrałam do pracy naszą rodzinną starą ikonę z Bogurodzicą i Jezusem, w piwnicy jest bezpieczniejsza, niż w domu, a ja jeszcze nigdy tak nie wierzyłam i nie modliłam się, jak w czasie tych 25 dni wojny”.